Mit Powstania Warszawskiego powinien wejść w nowa fazę. Po okresach marginalizowania tego wydarzenia (lata 90.) i gloryfikowania (efekt działalności Muzeum Powstania Warszawskiego) należy dziś przyjąć perspektywę bardziej wyważoną. Potrzebujemy pamięci o Powstaniu, która połączy ogromny szacunek do heroizmu żołnierzy i ich umiłowania wolności z bardzo rzetelną i krytyczną oceną przywódców tego wydarzenia. Potrzebujemy syntezy myśli Jarosława Marka Rymkiewicza oraz Piotra Zychowicza. Tylko wtedy Polacy staną się na nowo panami swojego losu, a nie zakładnikami historii.

Warszawska jesień. Kuba, choć jeszcze nie skończył 36 lat, dobija właśnie interes życia. Jego firma tworząca oprogramowanie stworzyła aplikację, dzięki której nawiązuje strategiczne partnerstwo z amerykańskim gigantem. Po owocnych negocjacjach z ich CEO, wspólna kolacja w dobrej restauracji, potem spacer po Starym Mieście. Z Kuby schodzi napięcie, przez co na moment traci czujność. Prowadzi swoich zagranicznych gości – nigdy już więcej tego nie zrobi – ulicą Podwale. U zbiegu z ulicą Wąski Dunaj dyrektor zarządzający amerykańskiego giganta przystaje i zaciekawiony pyta o Pomnik Małego Powstańca. „Kontrakt z Amerykanami nie był zagrożony, ale i tak zrobiło mi się strasznie głupio. Bo jaki jest symbol totalnego upadku państwa? Wiesz, cholerny Sudan czy Somalia? Bose dzieciaki zapieprzające z Kałasznikowem na szyi. Stoimy w finansowym centrum Europy Środkowej, jest XXI wiek, dobijam interes życia. I jak mam wyjaśnić, że sześćdziesiąt pięć lat temu było u nas jak w Somalii? I że dziś jesteśmy z tego dumni?”. „Mogłeś im po prostu zaśpiewać: Warszawskie dzieci pójdziemy w bój/ za każdy kamień twój/ stolico damy krew” – prowokuję, choć nie jest mi do śmiechu.

Polak, Melijczyk, dwa bratanki

Nie jest mi do śmiechu, bo sam przeżyłem coś podobnego. Jest rok 2005, seminarium z klasycznej filozofii politycznej na uniwersytecie Notre Dame. Omawiamy „Wojnę Peloponeską” Tukidydesa, a konkretnie dialog melijski, czyli wymianę argumentów między dowódcami Aten i mieszkańcami wyspy Melos. Melijczycy militarnie nie dorastają Atenom do pięt, ale bronią swojej niezależności i nie chcą przystąpić do Ateńskiego Związku Morskiego. Hardo wierzą, że Bóg im pomoże, bo „w słusznej sprawie podejmujemy walkę przeciwko krzywdzicielom”. Do tego łączy ich przecież sojusz z imperialną Spartą. Ateńczycy z całą brutalnością sprowadzają ich na ziemię: „nie idzie tu o hańbę, lecz raczej o to, by zastanowić się nad ocaleniem i nie stawiać oporu o wiele silniejszemu przeciwnikowi”. „Jeśli [zaś] idzie o wasze nadzieje na pomoc [ze strony Sparty], to z największym szacunkiem odnosimy się do waszej prostoduszności, lecz nie zazdrościmy wam łatwowierności”. Dialog melijski pokazuje zatem klasyczny spór między moralnością i siłą w polityce. Jego zakończenie nie może być zaskoczeniem: pomimo heroizmu wyspiarzy Ateńczycy zdobywają ostatecznie Melos mordując przy tym wszystkich mężczyzn, a dzieci i kobiety sprzedają w niewolę. „Miasto zaś sami skolonizowali, posławszy później pięciuset osadników”.

Po omówieniu dialogu pada pytanie prowadzącego: „kto z Was uważa, że Melijczycy postąpili słusznie?”. Na sali studenci z USA, Kanady, Kolumbii, Meksyku, Włoch i Hiszpanii, a w górze pojawiła się tylko jedna ręka. Moja ręka. Zaczyna się nierówny spór, w którym muszę bronić, przeciwko całej reszcie, absurdalnego przecież stanowiska. Stanowiska, że w polityce nie

można iść na żadne ustępstwa, nawet wobec dużo silniejszego agresora. Wolność jest bowiem wartością, w imię której można doprowadzić nawet do całkowitej zagłady narodu. Lubię spory, łatwo się w nie angażuję, ale żadna inna dyskusja tyle mnie nie kosztowała. Poszło na noże. Szybko przestaliśmy mówić o starożytnej Grecji, a zaczęliśmy o II wojnie światowej. Doszło do tego, że heroicznej postawie Polaków przeciwstawiałem mniejsze lub większe kunktatorstwo (czytaj: zdrady) innych narodów. Po burzliwej dyskusji wróciłem do swojego pokoju na poddaszu w akademiku Zahm Hall i puściły mi nerwy. Byłem wściekły, bo intuicyjnie czułem, że każdy polski patriota musi bronić Melijczyków. Inaczej sprzeniewierzyłby się swojej historii. Z drugiej strony nie mogłem porzucić przekonania, że intelektualnie nie zgadzam się z taką postawą. Nie chcę też z ust posłów ateńskich słyszeć zarzutu „prostoduszności" i „łatwowierności". Chcę, by czuli przed nami respekt.

Polityka nie jest od tego, by pięknie umierać. Polityka jest od tego, by pięknie zwyciężać.

Zakochani w Rymkiewiczu

Te wątpliwości nie przeszkodziły nam z Kubą zakochać się swego czasu w „Kinderszenen" Rymkiewicza. Dziwicie się? Niepotrzebnie. Jesteśmy przecież Polakami. Przecież z mlekiem matki wyssaliśmy przekonanie, które trwało w nas bardzo długo, że to Polacy wygrali II wojnę światową. Nawet nie moralnie, ale tak dosłownie, militarnie. Dlatego Rymkiewicz – mroczny, fascynujący, wyrywający z letargu – tak bardzo pobudzał wyobraźnie. Odczytaliśmy z niego to, co bardzo sprawnie opisał Jan Maciejewski w eseju „Wolność jako sposób istnienia Polaków". Rymkiewicz bardzo plastycznie stawia przed nami dylemat. Po jednej stronie jest życie bezsensu, bezrefleksyjna wegetacja przypominająca egzystencje raków stojących w skrzynkach przed sklepem spożywczym. Nie mieliśmy wątpliwości, że Rymkiewicz pisząc o rakach w skrzyniach tak naprawdę pisze o nas samych: „życie w skrzyniach było czymś, co im wystarczało, i nie liczyły na jakieś inne życie"; „wszystko to było niezborne, chaotyczne, ślepe"; albo „nie było w tym żadnego planu, żadnego porządku, żadnego celu". Z drugiej strony jest polskość rozumiana jako obrona polskiego sposobu życia. „Polska to jest coś czego się nie oddaje" powie Rymkiewicz. A w naszym sposobie życia kluczową wartością jest wolność, czyli „polska forma istnienia". To właśnie w imię tej wolności wybuchło Powstanie Warszawskie. „Szaleństwo Polaków było odpowiedzią na szaleństwo Niemców". Ich pragnieniu dominacji i porządku my przeciwstawiliśmy nasze odwieczne pragnienie wolności. Nie licząc się z kosztami, zupełnie jak Melijczycy.

Jeśli tak, to Rymkiewicz może z całą powagą powiedzieć, że „Powstanie zwyciężyło. Dowód na to, dobrze widoczny, całkowicie wystarczający, jest tuż obok, wokół nas – i my wszyscy, którzy teraz tu żyjemy, też jesteśmy tym dowodem. Tym dowodem jest niepodległa Polska. Komenda Główna i Delegatura Rządu na Kraj po to właśnie podjęły decyzję o wybuchu Powstania – żeby osiągnąć taki, a nie inny skutek". Żyjemy zatem dzięki temu, że Powstańcy przelali swoją krew za naszą wolność, pieczętując w ten sposób prawo do „polskiej formy życia". „Krew wtedy przelana, ofiary wtedy poniesione, wszystkie ówczesne cierpienia i cała ówczesna chwała będą nadal działały w naszej historii – i będą miały, w naszych dziejach narodowych, swoje dalsze skutki". Czytaliśmy te słowa z wypiekami na policzkach.

Ponowna lektura „Kinderszenen" pozwala dostrzec, że alternatywa stawiana przez

Rymkiewicza drastycznie redukuje rzeczywistość. Redukcja bierze się z bardzo specyficznej wizji Poety z Milanówka, według której człowiek nie jest w stanie być panem swego losu. Na podparcie tej tezy znajdziemy w książce bardzo wiele dowodów. We wstępie czytamy: „tematem książki jest los", który na tym polega, że „nie wiadomo, co to jest takiego i co z nami zrobi". Przy okazji opisu czołgu-pułapki dowiadujemy się, że „można tylko powiedzieć, że to los tak chciał. Jeśli opancerzony wóz amunicyjny był pułapką, to nie była to pułapka niemiecka, lecz pułapka losu – z ciemną, nieznaną przynętą, którą umieścił w niej los". Opisując plany wojenne Adolfa Hitlera i Hansa Franka autor stwierdza, że nie były one istotne (sic!). „Ważne było (i pozostaje) tylko to, co miała w głowie zupełnie inna głowa – Głowa Wojny. Grecy nazywają to Mojrą, czyli Przeznaczeniem. Było to coś potężniejszego niż wszyscy potężni Bogowie. Nie wiedzieli, co to jest, i my też nie wiemy". W innym miejscu: „komu los, ślepy traf nie sprzyja, ten musi przegrać, bowiem życie jest okrutne, a litości nie ma". Chyba wystarczy tych wstydliwych cytatów.

Nie ma wątpliwości, że według Rymkiewicza człowiek nie może być panem swego losu. Nie ma zatem mowy o prawdziwej polityczności.

Jak bowiem teraz jawi nam się rymkiewiczowski dylemat? Możemy zginąć jak raki (bezsensu), albo zginąć jak powstańcy (z sensem). W obu sytuacjach decyduje o tym jednak ślepy los, którego nie my jesteśmy panami. Jedyne co możemy, to usensownić nieuchronność naszej śmierci. I świetnie wychwytuje to Maciejewski: „Rymkiewicz zdaje się więc stwierdzać: albo bezrefleksyjna wegetacja, albo złożenie swego losu w ręce siły wyższej, to znaczy polskości". W innym miejscu: „Polskość nadaje więc sens naszemu istnieniu, zagospodarowuje masakrę naszego życia".

Cholera (by nie powiedzieć mocniej), co to za polityczność, która redukuje się do „złożenia swego losu" i „zagospodarowania masakry"? Zamiast stawiać sobie dalekosiężne cele i rozliczać się z ich realizacji, mamy przyjąć postawę ofiary i najbardziej infantylną wymówkę „los tak chciał".

Polityka jest od tego, by zwyciężać. Polityka nie jest od tego, by pięknie „zagospodarowywać masakrę naszego życia". „Pieprzę taką polityczność!" – właśnie to chciałem wykrzyczeć Rymkiewiczowi na poddaszu akademika Zahm Hall, choć wtedy pewnie jeszcze nie myślał on o napisaniu „Kinderszenen".

Zychowicz, wierny uczeń Mackiewiczów

„Przeczytałem Obłęd Zychowicza" – słyszę w słuchawce rozentuzjazmowany głos Kuby. „Bolesna, ale świetna lektura. Nie tylko zmieniła moje podejście do Powstania, ale przemyślałem też niektóre swoje zachowania w biznesie". „Nie przesadzasz? Książka historyczna, która pomaga w interesach?" – odezwał się we mnie sceptyk. „Serio. Zychowicz pokazuje, że mamy skłonność do przedkładania symbolicznych zwycięstw nad realny interes. Chcesz dobrze wypaść, więc odpuszczasz w twardych negocjacjach z Amerykanami. Mamy jakiś kompleks udowadniania własnej szlachetności. Bardzo łatwo to rozgrywać". Po takiej rekomendacji nie mogłem nie przeczytać Zychowicza.

Każdy patriota czytając Obłęd 44 musi się czuć, jakby mu ktoś, kawałek po kawałku, wyrywał serce.

Autor pokazuje na naszej historii, jak kończą mieszkańcy wyspy Melos. Stają się oni przedmiotem, a nie podmiotem politycznej gry.

Rozumowanie Zychowicza, czerpiące wiele z refleksji Józefa i Stanisława Mackiewiczów, jest bardzo klarowne. W trakcie II wojny światowej mieliśmy dwóch zasadniczych wrogów: Związek Sowiecki i Niemców. Wobec wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, a zwłaszcza w momencie powstania sojuszu sowiecko-alianckiego, Niemcy stali się dla nas „wrogiem przejściowym". Związek Sowiecki tym samym urósł do rangi kluczowego zagrożenia dla polskiej państwowości w powojennym układzie międzynarodowym.

Co w takiej sytuacji należało zrobić? Od 1941 roku należało zaprzestać ataków na oddziały Wermachtu. Więcej, należało trzymać kciuki, by wschodnia kampania niemiecka trwała jak najdłużej. Im dłużej Wermacht toczył wojnę o Stalingrad, tym więcej czasu mieli alianci, by dotrzeć do terytorium Rzeczpospolitej. Była to jedyna szansa, by Polska wyszła z II wojny światowej jako państwo niepodległe. Czy wobec tego należało skupić się na otwartym konflikcie z Armią Czerwoną? Czy taki konflikt mógł zakończyć się powodzeniem? Zychowicz tego nie postuluje, gdyż dysproporcja sił była zbyt wielka. Armia Krajowa powinna jednak skupić się na dwóch innych agresorach, którzy byli jak najbardziej w jej zasięgu. Powinna walczyć z sowiecką agenturą i ukraińskimi nacjonalistami. To pierwsze znacznie utrudniłoby instalowanie władzy komunistycznej Polsce. To drugie uchroniłoby ponad 150 tysięcy mieszkańców Wołynia i Galicji Wschodniej przed brutalnym mordem. Zostali oni zdradzeni przez Polskie Państwo Podziemne, gdyż jego kierownictwo było zaabsorbowane walką z Niemcami, co było sprzeczne z naszym ówczesnym interesem narodowym.

Zychowicz pokazuje, że ta strategia była omawiana w Biuletynie Informacyjnym ZWZ już w 1941 roku, następnie broniona głównie przez piłsudczyków i narodowców, a zatem nie jest wyrazem chciejstwa młodego autora. Dowodzi, że w tym samym roku Niemcy proponowali pakt o nieagresji, „spokój za spokój". Wreszcie przytacza stanowisko dowództwa Narodowych Sił Zbrojnych ze stycznia 1944 roku, gdzie czytamy: „Niemcy już wojnę przegrały", a „wrogiem numer jeden narodu i państwa polskiego jest już Rosja". Co się zatem stało? Skoro ówcześni rozumieli, że czas zaprzestać walki z Niemcami i zbroić się przed kluczową konfrontacją z Sowietami, to dlaczego historia potoczyła się zupełnie inaczej? Odpowiedź jest bardzo prosta:

Polacy w trakcie II wojny światowej „byli narodem lwów prowadzonym przez grupę baranów".

Zawiodły elity

Zychowicz nie bierze jeńców. Sikorskiego ocenia jako dobrego żołnierza, ale fatalnego polityka – niesamodzielnego, zakompleksionego, który dał się absolutnie zdominować przez Brytyjczyków. Pod ich wpływem Sikorski decyduje się na współpracę ze Związkiem Sowieckim, a nawet przekonuje do tego Amerykanów tak ochoczo, że „New York Times" oceni jego apel o pomoc Sowietom jako „równie gorący jak apel Litwinowa". Na jego tle Wódz Naczelny Polskich Sił Zbrojnych gen. Kazimierz Sosnkowski jawi się jako mąż stanu (był zarówno przeciwnikiem

współpracy z Sowietami, jak i sprzeciwiał się Powstaniu Warszawskiemu). Niestety, jego rozkazy kierowane do kraju cenzurował gen. Stanisław Tatar, prawdopodobnie agent sowiecki, który konsekwentnie dążył do zawarcia sojuszu AK z Sowietami. Tak oto nasze elity polityczne w Londynie zostały zdominowane przez interes „grubej trójki". Monte Casino, akcja „Burza", Powstanie Warszawskie – na każdym kroku Polacy mieli udowadniać swoją antyniemieckość, poświęcając swój interes na rzecz Sowietów i aliantów.

Równie fatalnie sytuacja wyglądała w Polsce. Zychowicz opisuje gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego jako człowieka o zbyt słabym charakterze, by mógł unieść powierzoną mu odpowiedzialność. Antoni Chruściel „Monter" jawi się jako manipulator, który dostarczył niesprawdzone informacje mające ostatecznie przekonać Bora-Komorowskiego, że należy rozpocząć Powstanie.

Największym szwarccharakterem książki – Zychowicz powie wręcz, że „jednym z największych w historii Rzeczypospolitej" – jest jednak gen. Leopold Okulicki.

To on zostaje wysłany przez gen. Sosnkowskiego w maju 1944 roku do Polski, by za wszelką cenę nie dopuścić do wybuchu Powstania. Okulicki sprzeniewierzył się jednak tym rozkazom rozpoczynając aktywną agitację na rzecz rozpoczęcia walki zbrojnej w Stolicy. Zychowicz spekuluje, że miało to związek ze złamaniem go w trakcie przesłuchania na Łubiance w 1941 roku. Nie trzeba jednak czekać na otwarcie akt NKWD, by stwierdzić, że „Okulicki złamał tym samym rozkazy naczelnego wodza, plamiąc mundur i honor oficera Wojska Polskiego". Potem skutecznie szantażował dowództwo AK – „z jednej strony groźby i oskarżenia o tchórzostwo, z drugiej podbijanie patriotycznego bębenka" – i w ten sposób doprowadził do wybuchu Powstania. Jak widać, czytelnik niespecjalizujący się w historii II wojny światowej w trakcie lektury Obłędu 44 co najmniej kilka razy musi przecierać oczy ze zdumienia.

Co zaś się tyczy samego Powstania, to Zychowicz nazywa tę decyzję jedną z najgorszych w naszej historii. Po pierwsze, była ona tragiczna z perspektywy politycznej, gdyż w zamyśle Bora-Komorowskiego była to „próba nawiązania współpracy z Sowietami w Warszawie". Zatem nawet powodzenie Powstania oznaczałoby bardzo szybkie przejęcie władzy przez Rosjan. Po drugie, była oczywistą klęską militarną. „Żadna bitwa w dziejach Polski nie została przygotowana i przeprowadzona tak dyletancko, jak bitwa o Warszawę w 1944". W praktyce oznaczało to, że w pierwszym dniu Powstania zginęło ponad 2 tysiące polskich żołnierzy, a żaden strategiczny niemiecki obiekt nie został zdobyty. Po trzecie, ogromnym błędem było odrzucenie propozycji rozejmu z 7 września 1944 r. Już wtedy wiadomo było, że Powstanie nie może się udać, a zarazem miasto nie zostało jeszcze zniszczone (największe bombardowania były po 10 września). Niestety, dowództwo odrzuciło te propozycję, gdyż Stalin przez dwa dni pozorował początek ofensywy. Po czwarte, absurdem jest stwierdzenie, że Powstanie musiało wybuchnąć z woli szeregowych żołnierzy AK. Zychowicz podaje znamienny fakt, że pierwsza mobilizacja odbyła się 27 lipca 1944 roku. Po jej odwołaniu oddziały rozeszły się karnie do domów, gdyż najgorszym zarzutem jaki można postawić żołnierzowi, to nielojalność wobec dowódcy. Powojenne wypowiedzi Bora-Komorowskiego, że musiał wydać rozkaz do walki, bo Powstanie i tak by wybuchło, jest ogromnie niesprawiedliwym przerzucaniem odpowiedzialności na swoich podwładnych. Po piąte wreszcie, zdaniem Zychowicza idiotyczny jest argument, że Powstanie przegrało, ale wygrało po czterdziestu latach. Gdyby do odzyskania niepodległości

po 1989 roku było potrzebne unicestwienie stolicy, to dziś Czechy, Węgry, Słowacja, Bułgaria i inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej nie cieszyłyby się z niepodległości. Zychowicz podsumowuje, że Powstanie Warszawskie wyrwało nam serce, a najbardziej skorzystał na nim Związek Sowiecki. „Kolejne pokolenia będą płacić za tą decyzję kilku oficerów Komendy Głównej AK".

Czy Polacy mogą stać się panami swojego losu?

Siedzimy z Kubą przy piwie. Opatrzność [to Coś innego, niż „ślepy los"] sprawiła, że w bardzo podobnych odstępach czasowych urodziło nam się po trójce dzieci. Dlatego często rozmawiamy o wychowaniu i dojrzewaniu. W kontekście spraw rodzinnych przypomina nam się przytoczony przez Zychowicza cytat pewnego psychologa:

„każdy młody człowiek przechodzi fazę heroizmu. Jest mu ona potrzebna do ustalenia wiedzy o samym sobie. Okres ten może trwać dłużej lub krócej. Na ogół kończy się wraz z wiekiem młodzieńczym. U Polaków heroizm nie zanika. Oznacza to, że w pewnym sensie nigdy nie dorośleją".

Ze smutkiem przystajemy na tę tezę, bo szybko sprawdziliśmy na iPhonie, że w Warszawie jest ulica, szkoła i witraż poświęcony Okulickiemu. Miasto, które tak ochoczo upamiętnia człowieka, który doprowadził do jego całkowitej anihilacji, wydaje nam się wyjątkowo niedojrzałe. Polityka historyczna powinna bowiem pozwalać wspólnocie wzrastać, a nie utrzymywać ją w zdziecinnieniu. Zaczynamy wyobrażać sobie, że oto nagle Polacy masowo zaczynają domagać się, by ulice poświęcone dziś gen. Leopoldowi Okulickiemu zamienić na ulice imienia (na przykład) porucznika Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki". Był to jeden z najbardziej bitnych polskich oficerów o wielkim wyrobieniu politycznym. Od początku na Wileńszczyźnie walczył z Sowietami, gdyż świetnie rozumiał polski interes. Nie trzeba dodawać, że jego działalność była torpedowana przez Londyn. Takie powszechne odrzucenie skompromitowanych ówczesnych przywódców na rzecz żołnierzy niższego szczebla, którzy wykazali się nie tylko heroizmem, ale i rozwagą polityczną, wydaje nam się świetnym sprawdzianem dla naszej dojrzałości.

Tak też widzimy ewolucję mitu Powstania Warszawskiego. Początek lat 90. to dziecinna niemożność zmierzenia się z ciężarem tego wydarzenia. Przez to mit Powstania został zepchnięty na margines. Wraz z utworzeniem Muzeum Powstania Warszawskiego weszliśmy w piękny okres zachwytu nad heroizmem, który właściwy jest dla wieku młodzieńczego. Dziś narasta chyba jednak potrzeba pójścia o krok dalej. Narasta potrzeba rozpoczęcia trzeciej fazy dojrzewania pamięci o Powstaniu. Potrzebujemy pamięci o Powstaniu, która połączy ogromny szacunek do heroizmu żołnierzy i ich umiłowania wolności (Rymkiewicz) z bardzo rzetelną i krytyczną oceną przywódców tego wydarzenia (Zychowicz). Tylko wtedy, gdy zaczniemy wyraźnie odróżniać bohaterstwo żołnierzy od głupoty politycznej ich przełożonych, staniemy się dojrzałą wspólnotą polityczną mogącą definiować swoje cele i rozliczać swoich przywódców. Tylko wtedy zaczniemy wreszcie zwyciężać, a nie zrzucać odpowiedzialność na innych, bo „los tak chciał". Krytyczna ocena przeszłości jest zatem niezbędna, byśmy stali się panami swojego losu. I nie ważne, czy chodzi o przejęcie amerykańskiego giganta informatycznego, wygranie Mundialu czy stworzenie superszybkiej kolei – bycie panem swojego losu zaczyna się w naszych głowach. Przezwyciężenie błędów przeszłości jest do tego kluczem.

***Krzysztof Mazur**, dr politologii, szef Rady Klubu Jagiellońskiego*

Materiał ukazał się na portalu Klubu Jagiellońskiego pod adresem: http://jagiellonski24.pl/2014/08/01/mazur-pomnik-dojrzalego-powstanca/